

Zły duchowny



Posepny, z wyglądu inteligentny mężczyzna ze stalowoszarą brodą, w skromnym odzieniu, wprowadził mnie do pomieszczenia na poddaszu i przemówił tymi słowami:

- Tak, On tu właśnie mieszkał, ale nie radzę panu nic robić. Ciekawość czyni pana nieodpowiedzialnym. My nigdy nie przychodzimy tu nocą, dlatego, że On tak chce. Wie pan co On zrobił? To przerażające Stowarzyszenie zajęło się nim na swój sposób, i nie wiemy gdzie do pochowano. na Stowarzyszenie nie ma żadnego prawa. Jest nietykalne.

- Mam nadzieję, że nie zostanie pan tu po zmierzchu. I błagam, aby nie dotykał pan tej rzeczy na stole, rzeczy, która wygląda jak pudełko zapalek. Mię wiemy co to takiego, ale podejrzewamy, że ma coś wspólnego z tym co On zrobił. Staramy się nawet na to nie patrzeć.

Po jakimś czasie mężczyzna pozostawił mnie na poddaszu samego. Pokój był obskurny i zakurzony, wystrój spartański, ale mimo wszystko panował tu porządek - z całą pewnością nie mieszkał tu biedak ze slumsów. Półki ugięły się pod ciężarem ksiąg z dziedziny teologii i klasyki, na innej zaś szafce stały traktaty dotyczące magii: dzieła Paracelsusa, Albertusa Magnusa, Trithemiusa, Mermesa Trismegistusa, Borellusa i inne, w dziwnych językach, których tytułów nie potrafiłem odczytać. Mebli było niewiele. Jedyne drzwi były drzwiami od szafy. Do pokoju wchodziło się przez uchylną klapę w podłodze, do której prowadziły toporne, strome, drewniane schody. Okna były okrągłe, jak tarcze strzelnicze, a czarne, dębowe belki stropowe, wydawały się niewiarygodnie stare. Mię ulegało wątpliwości, iż dom ten należał do Starego Świata.

Myślałem wtedy, że wiem gdzie jestem, ale nie pamiętam, co wówczas wiedziałem. Z całą pewnością, miasto nie było Londynem. Odniosłem wrażenie jakbym znajdował się w niewielkim, portowym miasteczku.

Moją uwagę przykuł niewielki przedmiot leżący na stole. Wydawało mi się, że wiem co należy z tym zrobić, gdyż wyjąłem z kieszeni latarkę - lub coś co ją przypominało - i kilkakrotnie, nerwowo sprawdziłem czy działa. Światło nie było białe, lecz fioletowe i bardziej niż prawdziwe światło przypominało radioaktywne bombardowanie. Pamiętam, że nie uważałem tego za zwykłą latarkę - gdyż faktycznie, takową miałem w drugiej kieszeni.

Zmierzchało, a stare dachy i kominy na zewnątrz wyglądały bardzo dziwnie przez okrągłe szyby okien. Ostatecznie, zebrałem się na odwagę i oparłem niewielki przedmiot leżący na stole o książkę - po czym skierowałem nań promienie dziwnego, fioletowego światła. Promień latarki wydawał się teraz rozbity, przypominał bardziej rozproszone krople deszczu albo drobne grudki fioletowego gradu, niż jednostajny strumień światła. Kiedy drobiny padły na szklistą powierzchnię pośrodku dziwnego urządzenia, wydały cichy trzask, jak odgłos iskrzącego odkurzacza. Ciemna, szklista powierzchnia rozbłysła różową poświatą i pośrodku niej pojawił się nagle, niewyraźny zrazu, biały kształt. W chwilę potem zauważyłem, że nie byłem już w pokoju sam - i włożyłem

promiennik na powrót do kieszeni.

Nowo przybyły nie odezwał się jednak - gwoli ścisłości, przez cały czas trwania spektaklu, jaki w chwilę potem rozegrał się na moich oczach, nie usłyszałem żadnego, nawet najcichszego dźwięku. Wszystko było mroczną pantomimą, widzianą z oddali, jak przez mgłę, choć z drugiej strony zarówno nowo przybyły, jak i wszystkie inne postaci, które pojawiły się później, wydawały się duże i wyraźne. Miałem wrażenie, jak gdyby dzięki jakiejś nienormalnej geometrii znajdowały się jednocześnie tuż obok, a zarazem daleko ode mnie.

Nowo przybyły był chudym, posępnym mężczyzną średniego wzrostu, odzianym w szatę duchownego kościoła anglikańskiego. Miał około trzydziestu lat, ziemistą, oliwkową cerę i dość przystojne rysy, ale nienaturalnie wysokie czoło. Jego czarne włosy były starannie przycięte i zaczesane. Był gładko ogolony, za wyjątkiem trójkątnej, gęstej, koziej bródki, a na nosie miał okulary ze stalowymi skrzydełkami, bez oprawek.

Z wyglądu i budowy przypominał innych duchownych, jakich zdarzyło mi się widzieć, był jednak posępniejszy i sprawiał wrażenie inteligentniejszego; poza tym, było w nim coś subtelnie złowieszczonego, co starał się starannie ukrywać. W obecnej chwili, zapalwszy słabą naftową lampę, wyglądał na zdenerwowanego, i nim się zorientowałem zaczął wrzucać swoje księgi, traktujące o magii, do kominka, umieszczonego w ukośnie nachylonej ścianie od strony okna. Ogień zaczął łączywie pożerać woluminy; różnokolorowe płomienie strzeliły w górę, a pomieszczenie wypełniło się niemożliwym do opisanego, ohydny fetorem, gdy pokryte dziwnymi hieroglifami stronicy i stoczone przez robaki okładki poddały się niszczącemu żywiołowi.

W tej samej chwili zorientowałem się, że w pokoju byli również inni, posępnie wyglądający ludzie w strojach duchownych. Jeden z nich miał na sobie szatę biskupią.

Pomimo że niczego nie słyszałem, domyśliłem się, iż podejmowali ważką decyzję dotyczącą pierwszego z przybyłych. Sprawiali wrażenie jakby nienawidzili go i obawiali się zarazem, on zaś najwyraźniej podzielał ich uczucia. Jego oblicze przybrało jeszcze bardziej posępny wyraz, ale okazało się, że jego prawa ręka drżała, gdy usiłował chwycić się oparcia krzesła.

Biskup wskazał na pustą półkę i kominek (płomienie przygasły pośród niemożliwych do rozpoznania zwęglonych szczątków), a jego twarz wyrażała niepokonaną odrazę. Pierwszy przybyły uśmiechnął się kwaśno i wyciągnął lewą dłoń ku niewielkiemu przedmiotowi leżącemu na stole. Pozostali, bez wyjątku, wydawali się przerażeni. Procesja kleryków podeszła do uchylnej kłapy w podłodze, i zaczęła schodzić po stromych schodach na parter. Opuszczając poddasze odwracali się i wygrażali pięściami pierwszemu z przybyłych.

Biskup opuścił pokój ostatni.

Pierwszy z przybyłych podszedł do kredensu i wyjął zwój powroza. Przystawiwszy krzesło, przymocował jeden koniec sznura do haka w grubej, czarnej dębowej belce stropowej, po czym na drugim końcu zaczął zawiązywać pętlę. Kiedy uświadomiłem sobie, że zamierza się powiesić, postąpiłem naprzód, aby mu to wyperswadować albo go uratować.

Zauważył mnie i przerwał swoje przygotowania, przyglądając mi się z wyrazem triumfu, który jednocześnie mnie zdumiał i zbił z tropu. Powoli zszedł z krzesła i zaczął zbliżać się w moją stronę, a jego ciemne oblicze o wąskich wargach rozjaśnił drapieżny, złowroźny uśmiech.

Poczułem, że grozi mi śmiertelne niebezpieczeństwo i wyjąłem z kieszeni promiennik, by użyć go jako broni defensywnej. Mię mam pojęcia, skąd przyszło mi do głowy, że mógłby mi on pomóc. Włączyłem go mierząc w jego twarz i ujrzałem, jak ziemiste oblicze zaczyna spowijać najpierw fioletowe a potem lekko różowawe światło.

Jego wilczy, złowroźny grymas przygasł i zastąpił go wyraz dojmującej zgrozy. Zatrzymał się gwałtownie, po czym - wymachując dziko rękoma - zatoczył się chwiejnie do tyłu. Zobaczyłem, że przesuwa się w stronę otwartej uchylnej kłapy w podłodze i próbowałem krzyknąć, aby go ostrzec, ale mnie nie usłyszał. W następnej chwili runął w głąb otworu i zniknął mi z oczu.

Miałem trudności w podejściu do schodów, ale kiedy tam dotarłem, na podłodze poniżej nie dostrzegłem zmasakrowanych zwłok. Miast tego usłyszałem tupot kroków ludzi wchodzących na górę. W dłoniach nieśli lampy. Usłyszałem ich kroki, gdyż czar chimerycznej ciszy prysnął; znów odbierałem dźwięki i widziałem postaci, normalnie i trójwymiarowo. Coś najwidoczniej ściągnęło tu tych ludzi. Ale co?

Czy nie usłyszałem jakiegoś hałasu?

Dwóch ludzi (z wyglądu prostych wieśniaków) idących na czele dostrzegło mnie i zamarło w bezruchu. Jeden z nich zakrzyknął głośno i dobitnie:

- Arrh! Toż to był on? Znów?

W tej samej chwili odwrócili się i pierzchli w popłochu. To znaczy wszyscy, oprócz jednego. Kiedy pozostali uciekli, zobaczyłem samotnego siwobrodego mężczyznę - tego samego, który mnie tu przyprowadził, stojącego z lampą w dłoni. Przyglądał mi się ze zdumieniem i fascynacją, ale nie wyglądało, aby się bał. Wszedł po schodach na poddasze i stanął obok mnie. Następnie przemówił:

- A więc jednak pan tego dotknął! Przykro mi. Wiem co się stało. To się już zdarzyło, ale tamten mężczyzna tak się przeraził, że popełnił samobójstwo. Zastrzelił się. Mię powinien pan zmuszać Go do powrotu. Wie pan czego On chce? Ale pan się nie boi, tak jak tamten. Przydarzyło się panu coś bardzo dziwnego i przerażającego, ale nie posunęło się na tyle daleko, aby zranić pański umysł i osobowość. Jeśli zachowa pan spokój i pogodzi się z koniecznością uczynienia pewnych dość radykalnych zmian w pańskim życiu, będzie pan mógł spokojnie żyć, ciesząc się światem i owocami pańskiej wiedzy.

Nie może pan tu zamieszkać - i nie sędzę, aby zechciał pan wrócić do Londynu. Radziłbym wybrać Amerykę. Nie wolno panu próbować niczego więcej z tą... Rzeczą. Teraz nie można już niczego odwrócić. Wszelkie próby uczynienia czegokolwiek tylko pogorszyłyby całą sprawę. Mogło przydarzyć się panu coś gorszego - w gruncie rzeczy nie jest aż tak źle, ale musi pan natychmiast opuścić to miejsce i nigdy, przenigdy nie wolno tu panu powrócić. Niech pan dziękuje Niebiosom, że skończyło się tylko na tym...

Zamierzam przygotować pana na szok i nie będę niczego owijał w bawełnę. Pański wygląd zmienił się, i to radykalnie. On zawsze to powoduje.

Niemniej jednak, w innym kraju zdoła pan do niego przywyknąć. Na ścianie, po drugiej stronie pokoju wisi lustro - podejść tam razem z panem. Przeżyje pan szok, aczkolwiek nie zobaczy pan niczego odrażającego.

Cały aż dygotałem, zdjęty śmiertelna grozą, i brodacz wręcz musiał mnie podtrzymywać, kiedy podchodziliśmy do lustra; w wolnej ręce trzymał słabo świecącą lampę, która do tej pory stała na stole, i na którą zamienił przyniesioną przez siebie latarkę.

A oto co zobaczyłem w lustrze.

Chudego, posępnego mężczyznę około trzydziestki, odzianego w szatę duchownego kościoła anglikańskiego, z pozbawionymi oprawek okularami o stalowych skrzydełkach, błyszczącymi poniżej pożątkłego, ziemistego, nienaturalnie wysokiego czoła.

Był to ów milczący przybysz, ten, który spalił swoje księgi.

Przez resztę życia miałem wyglądać tak jak ten człowiek!

Autor: Howard Phillips Lovecraft

[Początek]